



Azov

fragment "Czarnej ewangelii"
(Kobiety kochane nie dość mocno, tom II)

tekst: Kervion

© wszelkie prawa autorskie zastrzeżone

epub 2026, wydanie 1.2

wydawca: Kervion

Lufa pistoletu tkwi głęboko w gardle, obiema dłońmi ściskam jego rękojeść, prawy kciuk na spuście, w niezmienionej pozycji, sekundy albo godziny. Rozwarłem szczęki jak najszerzej, pełna penetracja, zaraz wytrysk ognia, ból dolnej szczęki, rozwieram szerzej, ból, kciuk twardo na spuście. Zawsze widziałem dwie strony medalu naraz, teraz też widzę obie, nie umiem podejmować skutecznych decyzji, osłabiony wahaniem. Groteskowy, wahający się egzekutor. Lufa jest szersza, niż się spodziewałem, zęby wbijają się w polimer. Szkliwo szoruje o powierzchnię jakbym gryzł cegłę albo szkło. Szkło ukryte w książce, którą kopnięciem wbili mi w usta, przeczytałem tracąc dwa zęby. Czubek lufy dotyka podniebienia, język mocno cofnięty, zwinięty pod lufą, smakuje smar, pistolet dobrze naoliwiony. Lufa była zimna, ale zdążyła się ogrzać. Wnoszę z tego, że minęły raczej minuty niż sekundy. Jeszcze tli się myślenie, wnioskowania do niczego nieprzydatne. Pistolety zwykle czuć prochem. Może ten nie był dawno używany albo zapaszek poczuję za chwilę, po strzale, gdy nie poczuję już niczego. Wyobrażam sobie zapach prochu. Wyobraźnia do niczego nieprzydatna. Prawa dłoń przyciskana przez lewą do lufy i kciuk, leżący na spuście, przyciska spust do punktu bez powrotu, zesztyniałe całkowicie. Sztywność pistoletu i kości przeszła na mięśnie, ścięgna, skórę. Nic nie drga. Kamień. Nie drzę pomimo zdenerwowania. Jestem skamieniały. Bawię się myślą naciskaj, naciskaj, ale nic się nie dzieje. Nie należę do tych, co się pocą, wzrok im się rozbiega czy puszczają zwieracze. Należę do tych, którym marzną stopy i dłonie,

sztywnieją żuchwy, ramiona, palce. Jaszczurka oko w oko z kotem, przybieram postać minerału. Śmiertelnie zimny, metaliczny kamień. Naciskaj, naciskaj, wysyłam bezgłośnie polecenia. Nie dzieje się nic. Głos wewnętrzny to efekt, a nie przyczyna. Decyzje zapadają gdzie indziej, głębiej, słowa są jedynie i niemal wyłącznie melodramatem. Nie wiem, ile czasu minęło, jak na dragach, przelatujesz myślami całe światy, budzisz się trzy dni później bez uczucia, a minęło pięć minut. Ciekawiło mnie, czy ten moment, w którym raz jeszcze przemierzasz całe życie, to sekunda przed śmiercią czy sekunda po niej. Nadal nie wiem.

Pistolet w gardle to Fort 17, ma wystrzelony jeden nabój, pozostało jedenaście, odbezpieczony. Waży prawie kilogram, jego zasięg skuteczny wynosi czterdzieści metrów, teraz jest prościej, to kwestia centymetrów, ważny jest kąt. Nie chcę spowodować zranienia, chcę dobić. Właściwie i tak jest – jestem – trupem, chodzi o skrócenie cierpienia. Nabój wystrzeli z prędkością trzystu metrów na sekundę. Chodzi o kilka centymetrów, o tysięczną część sekundy. I to ma wystarczyć, by ujrzeć całe swoje życie? Mówię naciskaj, naciskaj i wreszcie naciskam. Naciskam raz, jeden, drugi, trzeci, naciskam sto razy, sto razy pociski wbijają się w mój mózg. Jeden, drugi, trzeci, setny. Naciskam, naciskam. I nie dzieje się nic. Wyobrażanie sobie samobójstwa jest jedyną formą dostępnej mi ulgi. Zrobiłbym absolutnie wszystko, co w ludzkiej mocy, by przerwać ból, najchętniej bym się zabił. Ale nic nie jest możliwe, nic. Nie wiem, po co mnie torturują, nie ma to sensu, nie wiem, co do mnie mówią i czego ode mnie chcą. Moim

domem jest cela sto sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów. Są w niej moje rychłe zwłoki i metalowy pojemnik na odchody. Ściany z cegieł, byle jak położonych, na wysokość około trzech metrów. Od góry przybita siatka, z wysokiego sufitu zwisają srające i wrzeszczące nietoperze. Temperatura identyczna nocą i dniem, jakieś pięć stopni. Drzwi drewniane, żelazna sztaba. Ohydne jedzenie raz dziennie i karaluchy, jeśli ktoś jada świeże mięso. Do picia zupa z liści ze śliną kucharza. Widziałem różne więzienia, ale to przewyższa standardem całą resztę.

Przestałem móc chodzić parę dni temu. Gdy wloką mnie na przesłuchania, widzę przez narzucony na głowę porwany worek, jak tu wszystko jest ładnie urządzone. Przedtem była tu szkoła, mogą tu trzymać nawet kilkuset więźniów. Widziałem trzy budynki, ciągną mnie po schodach na dziedziniec i dalej do drugiego budynku, widziałem co najmniej trzy, ale może być ich więcej. W drugim budynku cały parter zajmują sale treningowe. Podczas przesłuchań nikt nie słucha odpowiedzi.

Słychać trzy wystrzały z dziedzińca, chwila ciszy, potem plusk. Gdy ciągnęli mnie wczoraj przez dziedziniec ujrzałem ten plusk, powtarza się nieregularnie co kilka godzin. Na dziedzińcu pod kasztanowcami stoi byle jak sklecona drewniana konstrukcja, do której przymocowane są trzy haki z prostymi wielokrążkami. Dwóch ludzi zwisało przywiązanych za jedną nogę każdy, trzeci za rękę, wybite ze stawów. Wszyscy trzej byli nadzy, zakrwawieni. Jeden sprawiał wrażenie martwego. Strażnik zwolnił nagle blok i

ciało wpadło do stojącej pod nim beczki, z której po chwili go wyciągnięto. Z beczek cuchnęło fekaliami, zasypanymi czymś białawym. Wyciągnięty z beczki ociekał tą mieszaniną i wracał do przytomności. Drugi ze strażników smagnął go dwa razy batem, rozcinając skórę w nowych miejscach. Torturowany wrzasnął jeszcze w rytm bicia dwa razy, po czym ucichł. Gdy zamknęli za mną drzwi usłyszałem znowu plusk, i jeszcze jeden, ale nikt się już nie dał więcej na dziedzińcu. Wrzaski było słychać jedynie z celi i korytarzy.

Parę tygodni temu poddaliśmy hutę. Okrucieństwo zaczęło się trzy dni potem, szalenie prymitywne i straszliwie skuteczne. Żadnej psychologii, regulaminów, żadnego sensu. Po prostu obcęgi, gwoździe, fekalia, woda, prąd, proste środki i rozdzierający ból. Najpierw ból, potem pytania, potem znowu ból. W moim przypadku najpierw ból, a potem od razu część trzecia, jeszcze większy ból. Nie jestem dla nich człowiekiem, jestem rzeczą, żabą, którą nadmuchują, aż pęknie, żeby było weselej. Bywałem dotychczas w innych więzieniach. Bywałem w hotelach. I po drugiej stronie rygla.

Czasem słyszę szepty z sąsiednich cel. Czasem ktoś skrobie w cegłę. Na początku skrobałem w odpowiedzi, ale przestałem to robić. Łudzę się, że pozostałe paznokcie jeszcze się do czegoś kiedyś przydadzą. Gorączkuję, nie jest to wyraźne uczucie. Byłem przez jakiś czas nieprzytomny, nie wiem, parę dni czy parę godzin. Jestem otępiały, na szczęście jestem bardzo otępiały.

Długie godziny spędzam z fortem w ustach, naciskaj, naciskaj, wybucha czaszka. Wyobrażam sobie, że wybuch jest tak silny, że rozrywa kości na kawałeczki, mózg rozbryzguje się po ścianach i z nich ścieka, i raz jeszcze, raz jeszcze, ulga. Wyobrażam sobie, że zostaję bez głowy, ze zwisającymi kawałkami tkanek z szyi, schylony zbieram rozmazane resztki mózgu i kości ze ścian, tulę je w rękach jak niemowlę albo wyobrażam sobie, że są one kawałkami puzzle, rekonstruuje własną głowę sprawdzając kawałek po kawałku, czy pasują. Rozśmiesza mnie ten obrazek, naga rzecz bez głowy szukająca po omacku w ceglanej celi sto sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów jej resztek. Nic poza tym nie przynosi ulgi. Nigdy tak bardzo nie pragnąłem śmierci, kresu matni. Tym razem ulica jest ślepa, to ja leżę na chodniku, nie tamten kacap, teraz on stoi nade mną, wyciąga forta i mówi, kreśląc krzyż pistoletem na mojej piersi, w imię bólu, śmierci i zła wiecznego, amen, i strzela mi w głowę. Wybawienie.

Budzę się w ciemności. Pojękiwania z innych cel, stukot kroków na korytarzu, trzask rygla, trzask strzału, cisza. Gdyby udało mi się zdobyć gwoździe i młotek. Mógłbym wyjść z siebie, przybijać. Najpierw nogi, stopy razem, przebite gwoździem, gwóźdź wbity w mur. Potem musiałbym się unieść, oprzeć na przebitych stopach, przybić najpierw rękę lewą, potem z drugiej strony prawą, rozkrzyżować się na tym skrawku muru i odejść, umrzeć i nigdy nie zmartwychwstać. Wyobrażam sobie, jak otwierają rano celę, a tu mnie już nie ma, zostało tylko wiszące, nagie ciało, młot na ziemi, zapadam znowu w otchłań.

I zmartwychwstaję. Jest dzień. Lewa stopa nie wygląda dobrze. Tylko nie zacząć myśleć, tylko nie myśleć. Ale to niemożliwe, obudziłem się, wróciło czucie. Zabić się, muszę się zabić, nie wytrzymam dzisiaj, nie mam im nic do powiedzenia, nic. Nie mam nawet paska, nie mam niczego ostrego, uderzać głową w mur, tak, uderzyć z całej siły głową w mur! Unoszę się, cegły, tylko cegły, plamy ciemnej czerwieni. Uderzam za lekko, jak bardzo lekko, jak bardzo śmiesznie lekko, słyszę ich idących korytarzem, uderzaj, uderzaj, uderzam mocniej, zapada znowu ciemność.

I zmartwychwstaję. Ile razy człowiek ma żyć? Nieskończenie wiele razy. Gdyby tak móc udławić się własną śliną albo połknąć język. Na głowie jedno rozcięcie więcej. Nie wiem, ile godzin zyskałem, każda chwila nieprzytomności jest dobra, każda. Wyczerpują się pomysły na samobójstwo, pozostaje zjedzenie własnych odchodów. Pragnę tylko końca bólu i nie mogę się zabić, nie ma czym, nie ma jak. Zjada mnie strach przed kolejnym przesłuchaniem, przed kolejną torturą. Najbardziej boję się powrotu nadziei, myśli, że da się przeżyć, że trzeba wytrzymać. To jest najgorsze, najgorsza jest nadzieja na przeżycie, najgorsze jest to, że ciągle myślę, a już nie chcę myśleć, nie chcę czuć, nie chcę być w żadnej formie. I ciągle myślę, nadal myślę, wyobraźnia i pamięć nadal pracują, podsuwają obrazy, twarze ukochanych kobiet, twarz mojej matki, piersi kobiet, pierwsza miłość, druga miłość, oczy, usta, usta, łono, te straszliwe przyjemności życia drwią ze mnie, plusk na dziedzińcu, wrzask, plusk, wrzask.

Chciałbym się opanować, zachować buddyjski spokój, jakikolwiek spokój, zaraz zacznę wrzeszczeć, niech przyjdą, niech mnie zatłuką, nie jestem w stanie dalej, ale tego się nie da przerwać, nie da się przerwać czucia, nie da się ze sobą skończyć, to musi trwać, musi boleć i jeszcze bardziej boleć. Pisma święte i nieświęte, prawdy i nieprawdy, ludzkość i indywidualni ludzie, moja była ojczyzna, moja była wiara, moje były narkotyki, wszystko jest kłamstwem, ostateczny jest ból, jesteśmy mordercami, rozpryskanymi plamami miłości, nienawidzę świata, nienawidzę ludzi, nienawidzę siebie.

Po paru godzinach odsunięcie zasuw, plastikowa miseczka z gęstym, brązowym płynem, w nim ziemniak, plastikowy kubek z zupą z liści, mętną, spienioną. Wypijam zawiesinę z miseczki, wylizuję resztki, zupa jest ohydna. Godzinę później wymiotuję, dużo tego nie ma. To dopiero dwa tygodnie, szybko chudnę. Dziś ból mniejszy niż wczoraj, może jestem bardziej otępiały. Karaluchy włożą do miski, chodzą po wymiotach, po nogach. Wyobrażam sobie, że będę kiedyś wolny, zdrowy, że wyjdę stąd, że Ukraina będzie wolna, że Rosja będzie wolna. Że będę miał obcęgi, gwoździe, piłę, młotek i że odnajdę tych, którzy mnie teraz torturują. Gdy będą mdleli z bólu, będę włączał prąd, by ich cucić, będę wykrawał z nich kawałek po kawałku, nie niszcząc serca i mózgu, będę ich karmił wnętrznościami, każę im jeść samych siebie. Obraz katów, zmuszonych do jedzenia własnych wnętrzności rozwesela mnie i

wprowadza w stan błogości, delektuję się tą możliwością. Dziś mam radosny dzień.

Budzę się. Od razu z pistoletami przystawionymi do skroni, do gardła, do potylicy, czubka głowy, wszystkie strzelają, bez ustanku, do opróżnienia magazynków, które w magiczny sposób znowu się ładują i strzelają, strzelają. Mam wiele para rąk, jak Wisznu, w każdej ręce pistolet, forty, colty, mausery. Siedzący w lotosie w morzu gówna i rzygowin bóg-kościotrup wykonujący taniec rąk dookoła własnej głowy. Serie strzałów, na dziedzińcu strzały, rozstrzeliwują kolejne zwłoki, tu nikt nie przybędzie z żadną odsieczą, trupy rozkładają się pod murami, nawet ich nie grzebią ani nie palą, polewają wapnem i chemikaliami. Zaczynam łkać, nie mam sił ani na walkę, ani na nienawiść, ani na wspomnienia, ani na nadzieję, upadł we mnie człowiek. Emma, moja kochana Emma, łkam z żalu nad sobą samym, nieodporny na ból, nieodporny na cierpienie. Kroki w korytarzu, otwierają drzwi, drzwi mojej celi, zakładają mi żelazo na ręce, na nogi, wyciągają na korytarz, wstaję, upadam, podnoszą mnie, ciągną mnie na czwarte przesłuchanie, mdleję z przerażenia.

Niezbędne są trzy elementy: nerwy, instrumenty i manicurzyści z obsługi hotelowej. Wśród manicurzystów najmniej liczną podgrupę stanowią psychopaci. Niewidoczny na pierwszy rzut oka defekt pozbawia ich zdolności rozumienia, że tatuowane elektrycznością, wykonujące śmieszne podrygi rzeczy, to nie rzeczy. Psychopaci lubią dobrą zabawę, konwulsje muchy, żaby,

śmiej się to zdrowie. Zachowują rozsądek, nie denerwują się, wykonują pracę zgodnie z regulaminem do końca. Nie da się dokleić im brakującego okablowania. Głusi jak pewni muzycy, dla których wszystko poza odgłosami huty jest muzyką mimozy. Natura nie wyposażyła ich w zdolność współodczuwania, pozbyła się balastu. Znaleźli zatrudnienie u gangsterów, dyktatorów, szefów więzień. Eksperyment genetyczny, wariant przyszłego życia, kilka genów zadziało wadliwie, powstała awangarda nowego gatunku i przywłaszczyła sobie palmę pierwszeństwa w dziedzinie, w której dotychczas przodował homo sapiens – w okrucieństwie. W gęściejącym z przeludnienia świecie, im mniej czujesz, tym lepiej przystosowanym zwierzęciem jesteś, wyżej zajdziesz, więcej zarobisz, więcej równie zimnokrwistych samic udostępni ci swoje biodra, a szanse na przeżycie potomstwa będą tym większe, im szybciej potomstwo pozbędzie się ciebie. Bredzę. Bredzę z goryczy, bólu i nienawiści.

Za każdym razem było ich trzech. Niżsi ode mnie o dwie głowy, mający nie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Zwykle nie mówili dużo, brak komunikacji nie stanowił dla nich dyskomfortu, nawet regulaminowego. Ten, który wyrwał mi paznokcie, był psychopatą. Wrzeszczałem, płakałem, ryczałem, błagałem o litość, pytałem jak ma na imię, próbowałem spojrzeć mu w oczy jak człowiek człowiekowi i chwylałem się nadziei, że odnajdę gdzieś na dnie zrozumienie, współczucie, cień emocji. Chciałem mu wybaczyć, porozmawiać z nim, dać znać, że wiem, iż on także cierpi. Byłem straszliwie naiwny, wręcz groteskowy,

chwytając się myśli zupełnie bezsensownych. Gdy tylko przyłapywał mnie na próbie spojrzenia sobie w oczy, po prostu walił w twarz. Rozszarpałbym ich zębami żywcem, gdybym choć przez sekundę miał taką możliwość. Było to niemożliwe, więc oszukiwałem się myślami, że oni także są ludźmi a ja, naśladując Jezusa, łagodnie i wybacząco spoglądając, odkryję przed nimi samymi ich głęboko skryte człowieczeństwo, że ból i tortura ustaną, gdy ujrzą, jaki jestem dobry, jak wielka jest siła mojej miłości i przebaczenia. Byłem żałosny, ból zmuszał umysł do ucieczki przed rzeczywistością. Zastanawiałem się, czy to oni nie byli ludźmi, czy może ja nie byłem człowiekiem, jakby rozwiązanie tego dylematu mogło cokolwiek zmienić, zakończyć ból, a nie mogło. Być może myliłem się, przypisując psychopatom defekty i fizyczne braki w systemie nerwowym, być może było odwrotnie, to oni byli normalni, a ja miałem nadmiar neuronów, czułem za dużo, ja byłem pomyłką ewolucji, rozdygotanym, czującym, nadczującym, czującym za tych, co czują i za tych, co nie czują, genetycznym eksperymentem, klęską. Gdy przestałem mieć wątpliwości, zacząłem się modlić o szybką śmierć. Nie wierzyłem w Boga, a jednak modliłem się, błagałem o kres elektrycznych wstrząsów, ale on nie słuchał albo go nie było, najprawdopodobniej sam był psychopata, tortury się nie kończyły, gdy traciłem przytomność natychmiast mnie do niej przywracali, genialnie prymitywni putiniści. Wytaczanie procesów zbrodniarzom ma w sobie coś absurdalnego. Proces powinno się wytoczyć Bogu albo naturze, skazać ich raz na zawsze i zakończyć projekty zmiany. Prowadziłem w nocnej ciszy te rozważania,

szydząc z siebie, bez litości szydząc, ośmieszając siebie samego w teatrze jednego aktora, widza, reżysera i ofiary. Wyobrażałem sobie scenografię składającą się wyłącznie z żyłek, tysięcy, setek tysięcy żyłek pędzących we wszystkich kierunkach i siekających mnie na oddzielne, niepowiązane ze sobą neuronami cząsteczki chemiczne. Modliłem się o rozpad, torturowałem po kres wyobraźni, zapadałem w letarg, udawało się być rośliną.

Był też drugi rodzaj boyów w tym luksusowym hotelu. Ulgę przynosiło im zadawanie cierpienia innemu, a największą ulgę przynosiło sprawienie bólu bezsensownego. Nie oczekiwali odpowiedzi na stawiane pytania. Przyznasz się – wyjmę ci oko prawe, nie przyznasz się – wyjmę ci oko lewe. Przyznajesz się? To zmiążdżę ci jądra. Śmiertelnie zranione w miłości własnej ofiary bycia zerem, kacapskie szczury, przyjaciele obcęgów, igieł, łańcuchów i siekier, śmietanka towarzyska, crème de la crème, elita degrengolady. Dzień po dniu, godzina po godzinie, stawałem się równy szczurom – nienawidziłem życia i ludzi w ogóle. Reakcją na fizyczne cierpienie było wyobrażanie sobie coraz niższych kręgów piekieł, w których to ja byłem katem i torturowałem w odwecie za ból własny, za bezkresne poniżenie. Co się ceregielić, otoczyć całą kulę ziemską kolczastym drutem, przykuć wszystkich żelazem do krawężników i śmiać się, śmiać się z ich bólu. Gdy ujrzałem ten obraz uderzyłem po raz kolejny z całej siły głową w mur. Udało się. Straciłem przytomność.

Najliczniejszy był jednak oprawców gatunek trzeci: zwykli ludzie, tyle że śmiertelnie przerażeni okrucieństwem. Żyli iluzją, że jeśli tylko będą dość uważni, dość twardzi i dość obojętni, wydobędą zeznania, by ratować własną skórę.

Na początku sądziłem, że jestem zatrzymany. Zabrało mi tydzień zrozumienie, że nie wyjdę z tego żywy. Pierwszą rzeczą jaką zrobili, było ścięcie mi włosów. Ten drobny akt nigdy nie zapowiada niczego dobrego. Przez trzy dni leżałem wraz z dziesiątkami innych na podłodze, przykuty do ściany, z rękami unieruchomionymi w żelaznej sztabie. Jakiegokolwiek rozmowy były zabronione. Oddałbym dzisiaj wszystko, by wrócić do tych pierwszych dni. Wszystko, to znaczy brudne, cuchnące, porwane i zakrwawione gacie, więcej nie zostało.

Pierwsze przesłuchanie sprowadziło się do kilku pytań o podanie kontaktów natowskich, kręciłem głową i powtarzałem *nie, nie, żadne NATO, nazywam się Az*, więc zaczęli zabawę w trzech elektryków i zamykanie obwodu. Nigdy przedtem nie byłem torturowany, nie znałem własnej odporności na ból. Poznałem. Nie miałem żadnej odporności, wrzasnąłem po pierwszym razie. Zabrało im trochę czasu wyjaśnienie, że każdy wydany dźwięk będzie karany silniejszym kopnięciem. Gdy traciłem przytomność, cucili mnie wodą. Popadłem w obłąd. Nazajutrz obudziłem się w celi z licznymi poparzeniami, w tym na genitaliach, a twarzy bałem się dotykać. Poparzenia miałem też na języku, co ułatwiło kilkudniowy post. Po pierwszym seansie nie miałem najmniejszej

ochoty w jakiegokolwiek sprawie się stawiać, zresztą w jakiej sprawie miałbym się stawiać?

Kilka dni później, inna trójca, równie elokwentna jak poprzednia, w innej sali, przymocowała mnie do czegoś między krzesłem a łóżkiem, nogi wyprostowane, stopy wystawały poza obręb drewnianego siedziska, ręce unieruchomione na szerokich, metalowych oparciach. Cieszyłem się, że nie widzę elektrod. Przed pierwszym pytaniem młotek zmiażdżył mały palec. Oczy wyszły mi z orbit, ale powstrzymałem krzyk. Padło pytanie o faszyzm. Az, powiedziałem, *nazywam się Az*. Wyrwanie pierwszego paznokcia zajęło kilka minut, nie powstrzymywałem krzyku z wielu powodów, także dlatego, że lali na otwieraną ranę kwas albo coś podobnego. Ocucili mnie wodą. NATO? *Tak, NATO*. Faszyści? *Tak, jesteśmy faszystami*. Potwierdzałem wszystko i to niezależnie od tego, czy tylko obijali mi stopy, czy miażdżyli palce. Dalej ciemna plama. Za trzecim razem, gdy mnie prowadzili do trzeciej sali, widziałem kątem oka przez dziurę w worku na głowie leżące na korytarzach pod ścianami trupy. Bez członków, kilka całkowicie zdeformowanych, popalonych, z poprzecinanymi twarzami. Tym razem zaproponowali mi pozycję leżącą, na dużym, drewnianym, lekko skośnym łóżku, z głową do dołu. Przywiązali mnie mocno. Nie wiedziałem jeszcze, czy tęsknić za zestawem mały elektryk, czy za zestawem manicurzysty. Ku mojemu zaskoczeniu ktoś zwrócił się do mnie po ukraińsku:

— Nazwisko!

— Az... nazywam się Az...

— Jesteś amerykańskim agentem?

— Nie, nie jestem agentem... to pomyłka...

Błąd. Zapomniałem, że to nie było pytanie. Położyli mi na głowie plastik i zaczęło się lanie wody. Przez sekundę myślałem, że to nic takiego, woda leci strumieniem i zalewa twarz. Sekundę później zmieniłem zdanie, trzecia sekunda była niezmąconą, czystą paniką. Topiłem się. Zupełnie nie miało znaczenia, czy mnie coś boli – mózg traktował lanie wody jak topienie się i nie było możliwości wyrwać się z fałszywie interpretowanej rzeczywistości. Topiłem się, ponieważ mózg uznał, że się topiłem. Utopiłem się z braku powietrza. Gdy mnie przywrócili do życia zdołałem wypowiedzieć:

— Jestem agentem CIA...

Przesłuchujący zainteresował się. Ile mam lat, gdzie się urodziłem. Dwadzieścia sześć, Warszawa. Jestem Polakiem, jestem faszystą. Czego ode mnie chcecie? Błąd. Kolejna porcja wody. Każde lanie wody kończyło się śmiercią, po której przywracano mnie do życia. Wpadałem automatycznie w panikę, dusiłem się i umierałem raz po raz. Samo lanie wody trwało dosyć krótko, technika była rewelacyjnie tania, prosta i skuteczna. Pytania powtarzały się, dokładnie te same, w takiej samej kolejności. Zrozumiałem, że miałem potwierdzać wszystko,

wówczas następowało przejście do kolejnej rundy wody i padało kolejne pytanie. Po kilkunastu rundach straciłem przytomność na dłużej. Potwierdziłem wszystko.

Po miesiącu wpakowali niedobitki naszego batalionu na paki. Jechaliśmy z godzinę, wysadzili nas w jakiejś hali pod Mariupolem, podzielili na dwie grupy. Ja byłem w mniejszej, sześćoosobowej.

— W imieniu Federacji Rosyjskiej członków terrorystycznej nazistowskiej organizacji Azov sąd wojenny skazuje na rozstrzelanie.

Osiem razy ustawiali po dwunastu pod ścianą, nie było więcej przemówień, po prostu pał, na szybko i cześć. Mnie, Ivana i Alka wyznaczyli do ściągania ciał. Niedaleko trzeba było ściągać. Oprócz ciężarówek przyjechały trzy mobilne krematoria. Wrzucało się po czterech, włączało płomień. Strzelali szybko, ale zwłoki płonęły wolno. Wrzuciło się dopiero drugą czwórkę, trupy się spiętrzyły, koniec strzelania. Wrzucało się, włączało, czekało pół godziny, wrzucało, włączało, czekało pół godziny. *Odmówić, znaleźć w sobie siłę, odmówić. Az, nie rób tego.* Ale Az robił, ściągał, wrzucał, włączał, czekał. Ściągał, włączał. Ivan i Alek też ściągali,

po trzech na trupa, chwyć tu, chwyć tam, wrzucaliśmy na taśmę. To już koniec był, koniec wszystkiego. Jeden z naszych miał wytatuowane czarne słońce. Masz swoje czarne słońce, swój czarny dym, swoje Morze Czarne, swoją kretyńską wyższość rasy białej. Właśnie wszyscy czerniejemy. Przy ostatniej dwunastce gaz się skończył. Wielkie Imperium Gazowe nie miało gazu do swoich pojazdów, bo wysłało je po cenach konkurencyjnych do Chin. Więc te sześć ostatnich ciał z powrotem na pakę i my też na pakę. Ci sami, co tu przyjechali, ale wszyscy już inni. Ci inni, bo martwi, ja inny, bo nie wiem. Nagła obojętność, straszliwa obojętność dla cudzego życia. Żywi, martwi, wszystko jedno. Byleby nie za ciężcy. Czułem, że powinienem mieć jakieś przemyślenia, poczucie winy przynajmniej, a byłem zmęczony i ośpiał. Tylko tyle, zmęczony, bo te ciała takie ciężkie. I po co była ta walka? Po jakąś wolność? Jakieś kobiety? Pieniądze? Słuszność, ojczyznę i rodzinę? Ale w ostatecznym rachunku, to tylko życie, a życie to tylko prawo silniejszego do zabijania i kupowania najseksowniejszych dziwek, nic poza tym. I nagle przypomniałem sobie piosenkę, której słuchałem przez satelity Muska jeszcze kilka dni przed poddaniem huty, River Ochmana, Polaka czy Amerykanina, jakie to życie jest jednak czasami piękne, *rzeko, rzeko, porwij mnie, porwij mnie raz jeszcze gdzie indziej*, chcę zapomnieć o tym wszystkim, zapomnieć o koszmarze wojny, o zbrodniach, które teraz są już także na moich rękach, skremowałem tych, z którymi walczyłem ramie w ramie, Andrieja, Dime, Michaiła i niezliczonych Ivanów, więc daj mi zapomnieć Panie, zapomnieć o tym wszystkim, pojechać na jakieś durne wakacje, na plażę na Krymie,

najlepiej z Amber Heard, taka ładna, szkoda tylko, że sra do łóżka. Zatrzymali się pod jakimś lasem, zmrok zapadał. Dali nam łopaty i kazali kopać. Wykopaliśmy na tych sześciu martwych, wrzuciliśmy ich, a potem przystawili pistolety i kazali kopać dalej. Kopałem własny grób i leciały mi łzy, że stali za daleko, poza zasięgiem łopaty, więc łzy, że nie zobaczę jego rozpryskującej się kacapskiej gęby, umrzeć jeden za jednego przynajmniej, te dwa metry za daleko, sprytne skurwiele, więc kopaliśmy swoją śmierć i patrzyliśmy sobie w oczy z przerażeniem i obłędem, kurwa to życie jest tak pojebane, dużo tego nie wykopaliśmy, szpadle wchodziły miękko w ziemię, przeciągnąć tę chwilę jak najdłużej, z nadzieją na nie wiadomo co, na cud jakiś kurwa cud, ale jaki cud, podchodzi ta pizda i mówi:

— Głębiej, nie za szeroko, głębiej, głębiej za prezydenta Putina! — zaśmiali się. Zrobiłem obrót, przestałem kopać, no podejdź tylko bliżej, ale nie dał się sprowokować, patrzył na mnie z nienawiścią i powiedział:

— Wyrucham twoją żonę i twoje córki, jedziemy do Odessy wyruchać je wszystkie, rozumiesz pierdolony żydowski nazisto?

Padłem na kolana.

— Wstawaj kurwo, wiążcie ich!

Zabrali nam łopaty, związali ręce i nogi i już nic nie było ważne, tylko zapach lasu wieczorem, ostatnie wdechy, jeszcze

raz, jeszcze raz, tlen, igliwie, życie nie miało sensu, nigdy nie miało sensu, tysiące lat okłamywania samych siebie, że jesteśmy czymś innym niż najgorszą, najpodlejszą rasą, że człowiek to coś specjalnego, już nie chciałem tego więcej słyszeć, nie chciałem swojego żalu i rozpaczę słyszeć, niech to się wreszcie kurwa skończy, padł pierwszy strzał, Ivan poleciał do dziury pierwszy, i jeszcze usłyszałem dwa strzały, najpierw poleciałem ja, na mnie się zwałił Alek, czułem, że kula rozerwała mi twarz, nie widziałem na prawe oko, ból był tak straszny, że nawet nie krzyczałem, dusiłem się z bólu, nie mogłem nawet zaczerpnąć powietrza, słyszałem jeszcze, że chwycili łopaty, przykrywała nas powoli ziemia, ale coś było nie tak, kurwa co się dzieje, dlaczego ja żyję, dlaczego jestem świadomy, ziemia leci mi na głowę, chciałem wrzasnąć *nie zasypujcie mnie!*, ale to nie miało wszystko sensu, albo dusza nie umarła i jest życie po śmierci albo... Spróbowałem wziąć oddech, czułem że wchodzi, nie za dużo jeszcze tej ziemi na nas, Alek mnie przygniatał, krew leciała mu z głowy na moją szyję, ale nie umarłem, wziąłem wdech, nie usłyszeli mnie, i nagle zrozumiałem, kula przeszła przez głowę, wyszła gdzieś bokiem, Jezu Chryste, więc to się jeszcze nie skończyło, kurwa, jeszcze na koniec mam się udusić i gnić za życia, straciłem przytomność chyba, bo następne co pamiętałem to cisza, ale taka cisza i ciemność, że mną wzdrygało, jakiś skurcz przez całe ciało przeszedł i uświadamiłem sobie, że mogłem oddychać, że to nie był jeden cud, ten ich strzał, że tu był też drugi cud, ta cienka warstwa ziemi na mojej głowie, że był trzeci cud, że straciłem przytomność, a teraz już pewnie sobie poszli, że miała miejsce

cała seria cudów, a następnym cudem będzie umieranie z braku wody i doświadczenie bycia zjadanym od środka przez własne robaki. Myślisz, że możesz coś zrobić i robisz to. Myślisz, że nie możesz i nie robisz. Wszystko jedno co myślisz, zawsze masz rację. I nie wiem co się stało, ale pewnie stał się kolejny cud, jakieś neutrino walnęło akurat w środek jakiegoś atomu, to pociągnęło za sobą reakcję łańcuchową, zajarzyła synapsa i w tej całej pojebanej sytuacji przyszło mi do głowy, żeby się stamtąd wygrzebać, mimo związanych rąk i nóg i braku pół twarzy, że się wygrzebię, więc próbowałem ruszyć kolanem do góry i poczułem, że mogę lekko przesunąć nogi Alka, że to wszystko było zbyt niewiarygodne, niemożliwe, nieprawdziwe, oszalały z bólu, wściekłości, oszalały wolą życia, bo nie myślałem, nie miałem żadnych słów w głowie, chwyciłem go za pasek i spróbowałem lekko przesunąć, to było prawie niemożliwe, ale trochę możliwe, ci debile nawet nie zasypali nas porządnie, i przesunąłem się raz jeszcze i jeszcze raz, i zdałem sobie sprawę, że to ja byłem debilem, gównem się przesunąłem, to jednak będzie długie umieranie, a nie żadne cudowne ocalenie, jaki ja jestem głupi, zawsze byłem głupi, nawet własna śmierć mnie niczego nie nauczyła, chcę żyć, bez sensu żyć, tak bardzo chcę żyć, że nawet nie widzę, że to sensu nie ma, nie wyjdę stąd. Wezbrała we mnie nienawiść, najpierw nienawiść do samego siebie, że zawsze się oszukiwałem, we wszystkim się oszukiwałem, a zaraz potem nienawiść do wszystkich innych, ale wszystkich bez wyjątku, na złych, za to że są źli, na dobrych za to, że wierzą w dobro, którego nigdy nie było i nie będzie, trzeba było być złym i zabijać, trzeba

było zabijać, tak jak mnie zabili i ta wściekłość spowodowała, że jeszcze raz się spałem i poczułem, że Alek przesunął się o kilka centymetrów, złapałem z trudem oddech, więc tak, więc to nienawiść ma mnie ocalić, ale ja już tak bardzo wszystkich nienawidziłem, całego świata, że teraz to już łatwo miało pójść, trzymałem go nadal za pasek, ale już nie całe ciało na mnie leżało, już tylko trzy czwarte, tak mi się wydawało, i chyba kolana miałem na zewnątrz, czułem jakby chłód, zabiję was wszystkich, słowo daję, będę każdego napotkanego zabijał, szczególnie tych naszych przyjaciół, tych Amerykanów, Polaków, Niemców, tych wszystkich, co się o nas tak troszczą i kupują od Ruskich, kupują benzynę na te swoje zaszranne BMW, którymi właśnie teraz jadą na wakacje do Chorwacji i Grecji, płaciecie zbrodniarzom, płaciecie, kupujcie od zbrodniarzy, witajcie się z nimi, dzwońcie do nich, umawiajcie się z nimi na lunch, na obiad, na kolacyjki w Wersalu, i kurwa kawior kurwa szampan kurwa prosecco, aperol, kurwa chuj, rozjechać wszystko bombą atomową, dajcie mi przyciski, wszystko wysadzę, wszystko, szarpnąłem głowę, jakiś kamień głębiej wszedł w ranę, szarpnąłem w drugą stronę i cud kurwa nie wiem który, poczułem zapach igliwia, poczułem las i usłyszałem noc, nigdy nie wiedziałem, że noc ma dźwięk, ale teraz ją słyszałem, jeszcze cichą, ale to już nie był mój oddech, moja własna krew, to był jakiś zbiór dźwięków z zewnątrz i zrobiła mi się gruda w gardle, gruda z ziemi, śliny i płaczu, to mi kompletnie odebrało siły, wyłem. I ujrzałem Morine, nagle ujrzałem Morine, jak stoimy i się całujemy i po prostu nasze ciała przylegały do siebie tak ściśle, jak Alka, ale to nie był Alek tylko Morine,

przyculałem ją do siebie, Morine, nikogo nigdy tak jak ciebie, przyculmy się raz jeszcze Morine, wszystko inne nie miało sensu, tylko stać z tobą w objęciach, tylko to miało sens, z tego całego życia tylko ten jeden wieczór, piętnaście minut, reszta to była totalna bzdura. Tak szalenie chciałem ją przytulić, bo to ja sam potrzebowałem bycia szalenie tulonym, chyba straciłem przytomność znowu. Obudziły mnie wilgoć na nosie i nowy dźwięk nocy, bo to chyba nadal noc była, szmer kropel padających tuż nad moją głową na cienką warstwę ziemi, nagle poczułem wodę, tej ziemi nie mogło być dużo, spróbowałem się obrócić i ku mojemu zdumieniu ciało Alka drgnęło i przesunęło się na prawo, już nie leżał na mnie ale obok, wysunąłem spod niego nogi i ręce, oparłem się na łokciu na lwanie i udało mi się wystawić głowę ponad ziemię i teraz już widziałem na jedno oko, że jest bardzo jasno, jak wstajesz z grobu to w nocy jest jasno jak w dzień, zmrużyłem jedno oko, drugiego pewnie nie miałem, ale do czego miałoby się przydać, jeśli będę już tylko zabijał, to wszystko jedno ile oczu, jeśli będę już tylko siedział na wózku i wyobrażał sobie Morine, to też wszystko jedno. Wyczołgałem się z płytkiego grobu, dosunąłem do najbliższego drzewa i oparłem o nie głowę. Noc, igliwie, zapach, dźwięk, wilgoć, życie. Ale po co żyć? Nie wiem jeszcze tego i nie wiem, czy kiedykolwiek będę wiedział. Chce mi się pić, potrzebuję lekarza, antybiotyków, sztucznego oka, noża do przecięcia więzów. Przeżyłem. Obok leżała porzucona jedna z łopat. Przetarłem plastikowe opaski samozaciskające się na rękach, to samo na nogach. Wstałem. Az żyje. I Azov zawsze będzie żył. A dalej jest tylko jeden cel, śmierć

Władimira Władimirowicza Putina. A wszystkim tym, co podadzą mu rękę, odetnę dłoń. A wszystkim tym, co będą z nim rozmawiać, wyrwę języki. Niestety Jezusie, nie będzie przebaczenia.

Od autora

Powyższa proza jest fragmentem roboczych plików „Czarnej ewangelii”, drugiego tomu „Kobiet kochanych nie dość mocno”. Tortury, strzelanie w tył głowy, mobilne krematoria używane do zacierania śladów zbrodni – o tym wszystkim wiemy z ogólnie dostępnych informacji. Historia człowieka, który przeżył własne rozstrzelanie, udając trupa, jest także zaczerpnięta z tego samego źródła. Reszta jest kreacją.

Podobno niedawno Olga Tokarczuk powiedziała: „Pisarze, teraz wszyscy jesteśmy żołnierzami”. Nie bardzo wiadomo, co miała dokładnie na myśli, ona sama pewnie też nie wie. Metafora pojemna, chwytająca za serce, jej znaczenie jest jak ogród o rozwidlających się ścieżkach. Czy nawołuje do porzucenia piór i chwycenia karabinów? Czy nawołuje do użycia piór jak karabinów? Czy wierzy w sprawczą moc słowa pisanego? Czy wierzy w istnienie kultury silniejszej od czołgów? Czy wierzy w istnienie jakiejś wspólnoty pisarzy? Różni różnie sobie na te pytania odpowiedzą.

Nie jestem żołnierzem, nie jestem pisarzem, nie wierzę w kulturę ani państwowość – odpowiedziałby uczeń Buddy. Wszystko to bowiem dręczące umysł miraże. I dodałby – póki będziecie się omamiać przyjemnościami, władzą, sławą, sztuką, pisarstwem, póty będą istniały zbrodnie i wojny. Są one skutkiem umysłowej bierności, waszego przywiązania do samych siebie, współzawodnictwa i ich naturalnych owoców.

Nie osiągnąłem nirwany, stanu pogodzenia się ze śmiercią i okrucieństwem, a jednocześnie nie podzielam optymizmu Olgi Tokarczuk co do roli pisarzy.

Równie niedawno Konstanty Gebert zakończył współpracę z Gazetą Wyborczą na tle nieopublikowania jego niewinnego tekstu o elementach faszystowskich w jednostkach paramilitarnych, które stały się załącznikiem późniejszego batalionu, a w końcu pułku Azow. Można się domyślić motywów redaktorów – nie dawajmy argumentów rosyjskiej propagandzie, jest wojna, świat lepiej wygląda czarno-biały. Niezwiązany umowami z nikim, mogę sobie pozwolić na łączenie w jednym kawałku elementów, które łączą się ze sobą w świecie rzeczywistym. A łączą się w każdym z nas. W kim się nie łączą, niech pierwszy rzuci piórem.

A jak się łączą? W każdym inaczej, ale indywidualne formuły połączeń pozostawiam literaturze. Tutaj dwa krótkie akapity o wspólnych.

W zeszłym roku kilkuset ludzi próbowało się przedrzeć do Polski z Białorusi. Odpowiedzieliśmy zasiekami. Nie minęło parę miesięcy, a okazało się, że miejsca wystarczy na parę milionów. Tamten epizod szybko wyparliśmy z pamięci zbiorowej. Jak pięknie wyglądamy teraz w lustrze polskości, prawda?

W tych samych dniach, w których dogorywający władca Chanatu Moskiewskiego dopuszcza się kolejnych zbrodni, Anglia słowami swojego sędziego uznała, że wyda Juliana Assange'a Stanom Zjednoczonym. Tam czeka go proces i 170 lat więzienia za publikację pewnych niekomfortowych materiałów. Powtórzę: za publikację. I przypomnę sedno sprawy: 66 tysięcy CYWILNYCH ofiar w Iraku na skutek działań wojennych koalicji. W tym torturowanych i rozstrzelanych. W tym cywilów zamordowanych z użyciem dronów. Koalicji z udziałem Polski.

Jak bardzo inne są rosyjskie „obozy filtracyjne” od Guantanamo i Starych Kiejkut? Jaka jest różnica między ludźmi zamordowanymi w Buczy i Mariupolu a zamordowanymi w okolicach Bagdadu? Czy nie jest nią przypadkiem kolor skóry? Bo jeśli kolor skóry, to jednak jesteśmy trochę rasistami? To jak daleko nam do wytatuowania sobie czarnego słońca? Daleko nam, czy blisko?

Nie, nie jestem symetrystą. Kibicuję sobie, naszym, naszej drużynie pierścienia. Choćby tak, jak proponuje Olga – piórem. Ale prawda leży tam, gdzie leży, a nie tam, gdzie byśmy chcieli ją położyć.